

Z notatnika recenzenta

Dyktatura tłumu

Pomysł jest świetny, ale nie da się wersów starożytnej greki przełożyć wprost na polskie akcenty

Po podniesieniu kurtyny ukazują się dworzec. Jeden z tych poniekąd bezimiennych, bo identycznie bezosobowych, punktów świata, w których mijają się obojętni ludzie. Po chwili, za szybą poczekalni rozpoczyna wędrówkę sznur pasażerów z wytartymi walizkami. To chór i bohaterowie, którzy za chwilę odegrają dla nas „Antygonę” Sofoklesa.

Pomysł **Bogdana Cioska**, by przenieść starożytny dramat we współczesność nie jest, oczywiście, nowy. Ale — o dziwo! — nie jest także banalny. Bo ten dziwny dworzec — zbudowany na scenie Teatru Zagłębia w Sosnowcu przez **Andrzeja Witkowskiego** — znosi natychmiast proste skojarzenia i ma w sobie coś uniwersalnego. Miejsce nieustającej wędrówki, wygnania, wycho-

dzenia ze zbrukanego zbrodnią miejsca, ucieczka, podróż w dobrą albo złą stronę. Dworzec jest współczesny i współczesne są kostiumy aktorów, ale motyw wędrującego tłumy — odwieczny. Z tego tłumy wyłonią się przyjaciele i wrogowie Antygony, ona sama pozostanie jednak obok. Samotna i dlatego to tłum, a nie Kreon (choć król steruje nastrojami większości) sta-

To rzecz o dyktaturze tłumy, ale i o okrucieństwie, jakiemu poddawany jest każdy, komu z tłumem nie po drodze

nowić będzie o jej losie. Pojedynczego człowieka zawsze łatwiej zaszczać... A tłum bywa wyrachowany i bezpieczny w swojej anonimowości. Gromada pilnie słucha, jakie wieści przynosi postanienie i jak na nie reaguje władza, a potem kombinuje, co zro-

bić, by na tym skorzystać. Czasem nawet współczuje ofiarom i odmińcom, ale w granicach własnego bezpieczeństwa. Przejmująca jest scena, w której Antygona wyrzuca z siebie wszystkie prawdy i racje, na moment przed śmiercią. W tym samym czasie pasażerowie rozpakowują tobołki, jedzą, moszczą się na ławkach poczekalni — głusi, obojętni, beznamiętni.

Tak rozumiana interpretacja rozciąga problem tragedii Sofoklesa w czasie i przestrzeni, bardziej akcentując problem „nieistnienia” jednostki w społeczeństwie, niż dramat osobisty bohaterki. To rzecz o dyktaturze tłumy, ale i o okrucieństwie, jakiemu poddawany jest każdy, komu z tłumem nie po drodze. Tym bardziej że Antygona w interpretacji **Barbary Lubos-Święs** jest nie tylko nosicielką odmiennych

racji, ale i kimś, kto tym tłumem pogardza, bo czuje się od niego lepszy. Brak pokory bywa zaś surowo karany, bez względu na ustrój, czas i miejsce.

I byłoby idealnie, gdyby nie zabieg, który zniweczył w dużym stopniu pomysł reżysera, a aktorom wytrącił z ręki wielki atut — prawdę emocjonalną postaci. Podejrzewam, że **Bogdan Ciosek** zwyczajnie przedobrzył, chcąc podkreślić ponadczasowość problemu. Miałaby się ona mieścić pomiędzy znakami współczesności z jednej, a nawiązaniem do klasycznego teatru greckiego z drugiej strony. To nawiązanie, to rapsodyczny patetyczny ton i recytacja oparta na rytmie tekstu. Po kilkunastu minutach nie sposób tego słuchać, nie da się bowiem (w skrócie mówiąc) wersów starożytnej greki przełożyć wprost na polskie akcenty, zaś cięcie zdań zgodnie z długością frazy



Kreon ma za sobą tłum, Antygona nie ma i nie chce mieć nikogo. **Barbara Lubos-Święs i Jerzy Dziedzic** w scenie z przedstawienia „Antygona” w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu.

zmienia kwestie w monotonną litanie. Przez maskę deklamacji nie przebija się żadna trwoga, żaden dylemat i — co najważniejsze — żadne cierpienie. Forma przytłacza istotę przesłania spektaklu. Tym bardziej że jednostajnemu

rytmowi towarzyszy nieodmiennie wysoka nuta, krótko mówiąc: aktorski krzyk. Chciałoby się rzec: ciszej nad tym grobem, a dotrzeć do naszych serc i sumień. Bo macie z czym.
HENRYKA WACH-MALICKA